

STOSUNKI POLSKO-AMERYKAŃSKIE

Stosunki Polska-USA, to stosunki szczególnego rodzaju. Nie tylko dlatego, że nie mają one żadnych obciążeń historycznych, które byłyby trudne do przezwyciężenia w pamięci zbiorowej obu narodów, czy też dlatego, że Polonia amerykańska jest największym skupiskiem Polaków w świecie poza granicami Polski.

Szczególność tych stosunków polega na tym, że USA są supermocarstwem, jednym z dwóch w świecie, które nie ma żadnych wrogich, czy nawet podejrzanych interesów względem Polski. Co więcej, USA mogłyby, gdyby tylko zdecydowały się na to, zagwarantować bezpieczeństwo zewnętrzne Polski, a nawet dopomóc jej w przebudowie gospodarki na bardziej wydajną.

Niestety, Polska nie znajduje się w centrum amerykańskiej polityki zagranicznej, jak to ma miejsce z innymi krajami. Dla ilustracji tego stwierdzenia warto przytoczyć poglądy Anthony Lake'a, doradcy prezydenta Clintona ds. bezpieczeństwa narodowego, wyłożone w "Washington Post":

"...Środkowy Wschód pozostaje nadal w sferze żywotnego zainteresowania USA. Wolny przepływ ropy naftowej, bezpieczeństwo i dobrobyt Izraela, stabilność zaprzyjaźnionych krajów arabskich... - oto sprawy, wobec których "nie możemy być tylko świadkiem w regionie..." (wyd. 24 lipca br.).

Prezydent Clinton z kolei, przemawiając 12 lipca br. do berlińskich tłumów, wykrzyknął, po niemiecku nawet, że "Amerika steht

son, w słynnym Punkcie Trzynastym, jeszcze raz powtórzył swoje stanowisko w sprawie polskiej, dodając ponadto, że niepodległa Polska ma być z dostępem do morza. A ponieważ w kilka miesięcy później USA przechyliły szalę zwycięstwa na korzyść Ententy, to tego rodzaju ich stanowisko w sprawie polskiej było tym bardziej cenne. Podobnie pomógł polskiej sprawie udział Wilsona w paryskiej Konferencji Pokojowej, choć może nie zawsze głos jego szedł po linii życzeń polskich. Pod jego jednak nieobecność, sprawa polska miałaby się o wiele gorzej.

Niestety, Kongres USA nie akceptował wilsonowskiej polityki zagranicznej, sam Wilson wybory przegrał, a kraj jego zamknął się w izolacjonizmie. Skutki tego dla całego świata, Polski w pierwszym rządzie, są aż nadto znane.

Co się tyczy stosunków polsko-amerykańskich w okresie międzywojennym, to ogólnie nie należały one, niestety, do najlepszych. USA nie chciały nawet utrzymywać stosunków dyplomatycznych z Polską na szczeblu ambasadorskim, rozmów na najwyższym szczeblu unikały, kredytów udzielały raczej niechętnie, w dodatku skromnych, a jednocześnie wyrażały niezadowolone w powołaniu rzekomych pogromów Żydów.

Ale na tym nie koniec. W pewnym momencie USA zaczęły odnosić się ze zrozumieniem do niemieckich roszczeń terytorialnych pod adresem Polski, a nawet dziwiły się, iż była ona gotowa bronić swoich gra-

ustępowała dalece jego poprzednikowi.

Ale trzeba też dodać, że Roosevelt tłamsił jak mógł raporty wywiadowców i dyplomatów amerykańskich, które oskarżały Stalina o zbrodnię katyńską, a jednocześnie zachęcał takich dwóch zaprzańców polonijnych jak profesor Oskar Lange i ksiądz Stanisław Orlemański, żeby bez wiedzy rządu p o l -



skiego jechali na spotkanie ze Stalinem i Wandą Wasilewską! Ba, Roosevelt miał potem czas na wysłuchiwanie bzdur ks. Orlemańskiego o całkowitej swobodzie re-

w Stuttgarcie 6 września 1946 r. palnął na cały świat, że polska granica zachodnia, nie jest wcale ostateczna, nie oczywiście nie wspominając o tym-

czasowości polskiej granicy wschodniej. Niby chciał on w ten sposób zmusić Stalina do wyboru pomiędzy Niemcami a Polską, ale Stalin wybrał Polskę, co w rezultacie czyniło go jej dobroczyńcą, podczas gdy USA wyszły niemal na jej wroga. Mikołajczykowskie PSL od

ne w "Washington Post":

"...Środkowy Wschód pozostaje nadal w sferze żywotnego zainteresowania USA. Wolny przepływ ropy naftowej, bezpieczeństwo i dobrobyt Izraela, stabilność zaprzyjaźnionych krajów arabskich... - oto sprawy, wobec których "nie możemy być tylko świadkiem w regionie..." (wyd. 24 lipca br.).

Prezydent Clinton z kolei, przemawiając 12 lipca br. do berlińskich tłumów, wykrzyknął, po niemiecku nawet, że "Amerika steht an Ihrer SEite, jetzt und fur immer!", czyli że "Ameryka stoi po waszej stronie, teraz i na zawsze".

No cóż, nic takiego Polacy nie usłyszeli z ust prezydenta Clintona w czasie jego przemówienia w Zgromadzeniu Narodowym w Warszawie w dniu 7 lipca br...

Z drugiej strony jednak, jeśli Polsce istotnie zależy na bardzo dobrych stosunkach z USA, to nie może ona podejmować tak prowokujących decyzji, jak to miało miejsce z nominacją Mariana Zacharskiego, osobnika w tym kraju aż nadto znanego, na szefa wywiadu Urzędu Ochrony Państwa. Prawda, Zacharski sam zrezygnował ze swojej funkcji, ale w stosunkach polsko-amerykańskich pojawiło się niepotrzebne napięcie i miejmy tylko nadzieję, że ostatnie tego rodzaju.

Zresztą, stosunki polsko-amerykańskie, aczkolwiek generalnie dobre, miały jednakże okresy wzlotów i upadków, a wina za to z rezultaty nie leżała po stronie polskiej. Historii tych stosunków, choć są one powszechnie znane, należy mimo wszystko poświęcić nieco uwagi.

A więc za ich początek, pomijając już Łościszkę i Pułaskiego, czy pierwszych polskich imigrantów w Ameryce, należy uznać rządy prezydenta Wilsona do Senatu z 22 stycznia 1917 r., w którym stwierdził jasno konieczność odrodzenia się Polski jako kraju "wolnego, zjednoczonego i niepodległego". Nikt wtedy w świecie, poza samymi Polakami, o takiej Polsce nie mówił. Słowa Wilsona były więc olbrzymim wsparciem dla sprawy polskiej i zachętą dla samych Polaków w ich walce o niepodległość.

Wkrótce potem, 8 stycznia 1918 r., przemawiając o celach wojennych USA, prezydent Wil-

son wyraził nadzieję, że stosunki dyplomatyczne z Polską na szczeblu ambasadorskim, rozmów na najwyższym szczeblu unikały, kredytów udzielały raczej niechętnie, w dodatku skromnych, a jednocześnie wyrażały niezadowolenie z powodu rzekomych pogromów Żydów.

Ale na tym nie koniec. W pewnym momencie USA zaczęły odnosić się ze zrozumieniem do niemieckich roszczeń terytorialnych pod adresem Polski, a nawet dziwiły się, iż była ona gotowa bronić swoich granic...

Do Niemiec płynął też szeroką rzeką kapitał amerykański, a w ślad za nim także innych krajów, co w efekcie aż ponad sto razy przewyższyło analogiczny napływ kapitału obcego do Polski, rzecz nie bez znaczenia w odbudowie potęgi Niemiec.

Prawda, po dojściu Hitlera do władzy w Niemczech, amerykańskie sympatie dla tego kraju skończyły się, ale za to skierowały się w stronę ZSRR, innego wroga Polski. Już przedtem nawet USA miały różne obiekcje co do polskiej granicy wschodniej, uważając ją za "niesprawiedliwą" dla Rosji, ale teraz sytuacja zaczęła wyglądać bardziej niepokojąco, co zresztą ujawniło się na całym świecie II wojny światowej, kiedy to zauroczenie prezydenta Roosevelta i jego małżonki Stalinem doszło już do zenitu.

Po klęsce wrześniowej Polski i powstaniu jej rządu na emigracji, o stosunkach polsko-amerykańskich można mówić już tylko w cudzysłowie. Prezydent Roosevelt coś tam co prawda opowiadał, że Polska była "sumieniem świata", ale nic konkretnego stąd nie wynikało. Początkowo wydawał się też mieć w stosunku do Polski więcej sympatii niż Churchill, ale po przystąpieniu USA do wojny sprawy jej scedował na niego i odtąd tylko pozorował swoje nimi zainteresowanie.

W pewnym stopniu, choć nie przesadzajmy, byli temu także winni sami Polacy. Tak na przykład premier i Wódz Naczelny, gen. Władysław Sikorski, jeśli już miał rzadką okazję rozmów z Rooseveltem, to najczęściej opowiadał mu o sprawach ogólnoswiatowych, a najmniej o polskich. Jeszcze gorzej było potem z premierem Stanisławem Mikołajczykiem, którego wiedza i inteligencja

skiego jechali na spotkanie ze Stalinem i Wandą Wasilewską! Ba, Roosevelt miał potem czas na wysłuchiwanie bzdur ks. Orlemańskiego o całkowitej swobodzie religii w ZSRR i o rzekomych zamiarach Stalina połączenia wszystkich istniejących tam kościołów chrześcijańskich w jeden jedyny i to pod przewodnictwem papieża...

Potem też Roosevelt z Churchillem długo zastanawiali się czy Powstańcom Warszawskim przyznać prawa kombatanów wojennych, choć AK uważali przecież za armię sojuszniczą, a nawet namawiali ją do działań zaczepnych przeciwko Niemcom!

O Teheranie i Jałcie już lepiej nie wspominać. Co do Jałty zaś, to warto przypomnieć, iż po zakończeniu jej obrad Roosevelt westchnął na głos, że nareszcie kończą się pięćdziesięcioletnie kłopoty z Polską, a to samo, już głosem donośnym, powtórzył na cały świat 1 marca 1945 r. przed Kongresem.

No cóż, pobierane lekcje historii Polski u szlachy Samuela Rosenmana i samego Stalina nie poszły na marne...

Co było potem już wiemy. Polska, jako PRL, dostała się pod dominację sowiecką, ale to wcale nie przeszkadzało USA w uznaniu jej i nawiązaniu stosunków dyplomatycznych nawet na szczeblu ambasadorów.

Stosunki PRL-USA, choć były anormalne, również zasługują na uwagę, choćby dlatego, że trwały w historii wzajemnych stosunków ponad dwa razy dłużej, niż te przedwojenne.

Otóż na samym początku istnienia PRL uwaga USA była niestety przykuta nie do spraw polskich, a niemieckich. USA i ZSRR prześcigały się wtedy w licytowaniu kto może być bardziej hojnym dla Niemiec i stąd sekretarz stanu James Byrnes, występując



ca, pod-
c z a s
g d y
U S A
wyszły
niemal
na jej
wroga.
Miko-
łajczy-
kowskie
PSL od
razu od-
cz u ł o
skutki

tego na
własnej skó-
rze...

Potem przy-
szła "zimna woj-
na" i stosunki pol-
sko-amerykańskie

znalazły się w przysło-

wiowym dołku. Jednakże po tzw. wydarzeniach październikowych w 1956 r. stosunki te zaczęły się wyraźnie polepszać. USA pośpieszyły PRL z kredytami na dogodnych warunkach, przywróciły jej klauzulę największego uprzywilejowania, a eksportowe embargo wobec niej stosowały bardzo liberalnie.

Co więcej, poczynając od wizyty wiceprezydenta Nixona w lipcu 1959 r. w Warszawie, rozpoczął się okres wizyt na najwyższym szczeblu, a w ogóle stosunki wzajemne ulegały ciągłej poprawie. Dopiero wprowadzenie "stanu wojennego" ochłodziło je drastycznie, ale już pod koniec istnienia PRL uległy one znów całkowitej normalizacji, czego punktem kulminacyjnym była wizyta prezydenta Busha w Warszawie w lipcu 1989 r., jeszcze zatem przed nastaniem rządów "Solidarności".

Wkrótce potem, jak wiadomo, zniknęła PRL, a z kolei pojawiła się III RP, co ze wszech miar powinno było nadać wzajemnym stosunkom nowego charakteru.

No cóż, jakościowej przemiany w tych stosunkach jednak nie było i tylko można spekulować dlaczego tak się stało.

A propos, w czasie wizyty Mieczysława Rakowskiego w Moskwie, gdzie udał się on

jako szef już konającej PZPR, miał on rozmowę w dniu 11 października 1989 r. z samym Gorbaczowem, który miał mu powiedzieć, że w czasie pobytu Eduarda Szewardnadze, wówczas ministra spraw zagranicznych ZSRR, w USA, miał on "nieoficjalną rozmowę w sprawach polskich" z sekretarzem stanu Jamesem Bakerem. Baker miał mu wtedy powiedzieć, że USA nie zaangażują się w przebudowę gospodarki polskiej...

Jak istotnie wyglądała ta "nieoficjalna rozmowa" - tego nie wiem, ale faktem jest, że USA istotnie w taką przebudowę nigdy się nie zaangażowały. Inne zaś kraje zachodnie, widząc ociąganie się USA, też nie pospieszyły z ofertami tej przebudowy. Okazja więc minęła i teraz o takiej przebudowie nikt już w świecie nie wspomina. Wrześniowe wybory pandto, czy "kwiatki" w postaci nominacji Zacharskiego, nie sprzyjają nawet takim rozmowom.

Co gorsza, lipcowa wizyta prezydenta Clintona w Warszawie jakby znów zapowiadała wzajemne ochłodzenie się omawianych stosunków. Pomijając już różne drobne zgrzyty w czasie tej wizyty, wypadła ona bez porównania mniej okazała jak poprzednie tego rodzaju. Tłumów wiwatujących nie było, wspólnej konferencji prasowej także, a w dodatku expose prezydenta Clintona w Zgromadzeniu Narodowym przyjęto chłodno, a nawet lekceważąco w odniesieniu do dostojnego gościa. Posłowie i senatorowie byli pstrokato ubrani, wielu było bez krawatów, a niektórzy wystąpili w koszulkach polo... W USA, choć nie słyną one z elegancji, nikt tak ubrany niechlujnie nie odważyłby się pokazać w Kongresie, zwłaszcza w czasie przemówienia jakiegokolwiek głowy państwa...

Skoro już mowa o expose, to aż dziw bierze, że krajowe komentarze nie zauważyły jego wieloznaczności, a jego treść w zamian za to niepotrzebnie osładzały.

Tak na przykład, dość dziwnie zabrzmiały słowa prezydenta Clintona, że dobrze się

stało iż Polska zdecydowała się na "dobre stosunki z Rosją"...

Czyżby "dobre stosunki" z Rosją zależały tylko od dobrej woli Polski? I dalszego USA tak bardzo zależy na tym? A jeśli na przykład Rosja "podpowiada" Polsce nominacje a la Zacharski, to czy aby nie wynika to z owych "dobrych stosunków"?

Prezydent Clinton powiedział też, że bezpieczeństwo Polski "leży USA na sercu"... Nie ma co, pięknie powiedział! Ale co z tego wynika? Ano, nic prawie...

Dalej też powiedział, że żaden kraj nie może się sprzeciwiać "integracji Polski z zachodnimi instytucjami, w tym także z tymi, które zajmują się zapewnianiem bezpieczeństwa", mając oczywiście NATO na myśli.

A jak - można zapytać - zareagowałyby USA właśnie na taki sprzeciw, Rosji na przykład? Ano, tego już nie powiedział.

I wreszcie prezydent Clinton powiedział, że nie ma sprawy polskiego członkostwa w NATO, a tylko "kiedy" i "jak", dodając jednocześnie, że "... jeśli NATO będzie rozszerzone, to demokratyczna Polska znajdzie się wśród tych, którzy będą przygotowani do przystąpienia do niego..."

Zaraz, zaraz, co to wszystko oznacza? Warunkiem pierwszym, jest tu "jeśli", a jeśli właśnie NATO zdecyduje się nie rozszerzać? Warunkiem drugim jest "demokratyczność" Polski, choć akurat innym, jak choćby Turcji, warunku takiego nie stawiano. Polska może nie utrzymać swojej demokracji, albo też można w nią nie wierzyć. I co wtedy? A ponadto co oznacza "przygotowanie" kandydata do wstąpienia do NATO? O jakie kryteria tej gotowości tu chodzi?

I jeszcze jeden passus z omawianego wystąpienia. Prezydent Clinton powiedział, że "...w rzeczywistości Polska stoi obecnie przed najbardziej korzystną perspektywą życia w pokoju i bezpieczeństwie w ciągu ostatnich 350 lat..."

Nieprawda! Wtedy Polska była mocar-

stwem, nie było jeszcze buntu Chmielnickiego i najazdu szwedzkiego, ale nawet i potem pozostała wielką potęgą, choć co prawda nie potrafiła jej utrzymać. Rokosze Lubomirskich, rzezie bratobójcze pod Mławami i nieodpowiedzialna polityka zagraniczna, niestety króla Jana, czy po nim Sasów, którzy z potencjalnych sojuszników, Turcji i Szwecji zrobili wrogów Polski - skończyły z jej mocarstwowością. A dziś Polska już nie tylko nie jest w stanie zapewnić sobie bezpieczeństwa zewnętrznego własnymi siłami, ale też nikt nie śpieszy się z podaniem jej pomocnej ręki i USA nie są tu wyjątkiem...

Cóż więc robić w istniejącej sytuacji?

W poprzednim artykule wspominałem, że na "opcję niemiecką" nie ma co za bardzo liczyć, nawet w najlepszej sytuacji, a jeszcze wcale nie musi ona być najlepszą.

Niestety, nie lepiej wygląda też sprawa z "opcją amerykańską", choć teoretycznie na nią można by bardziej liczyć.

W tej sytuacji nie pozostaje nic innego jak robić co się da. Tak na przykład rola USA w polskim handlu zagranicznym powinna być znacznie większa, niż to ma miejsce. Udział USA w nim ledwie przekracza trzy procent i pozostaje daleko w tyle za innymi krajami. Relatywnie jest on też znacznie mniejszy niż przed wojną, a nawet w niektórych okresach istnienia PRL. USA powinny mieć ten udział trzykrotnie wyższy i być drugim, po Niemczech, albo ostatecznie trzecim, po Rosji, największym partnerem handlowym Polski. Wiele krajów "wychowało" swoje przemysły na rynku amerykańskim. Polska więc też powinna pójść za ich przykładem. Powinna też dołożyć starań, żeby kapitał amerykański, który wiedzie prym wśród lokat obcych w Polsce nie tylko takim pozostał, ale żeby jego napływ radykalnie wzrósł, gdyż ciągle jeszcze jego napływ jest zbyt skromny.

Polska powinna też, na ile to możliwe, kształcić masowo swoje kadry naukowe w USA, kraju ciągle przodującym w świecie

w postępie naukowo-technicznym.

Olbrzymią rolę w zacieśnianiu stosunków polsko-amerykańskich może też odegrać wielomilionowa Polonia. Nie ma ona co prawda tej wagi w USA jak ma mniejszość żydowska, irlandzka czy włoska, a ostatnio także latynoska, ale coś przecież ma do powiedzenia, chociaż powinna mieć znacznie więcej. Nie należało się też obrażać, jak to miało miejsce z niektórymi czołowymi działaczami polonijnymi i nie odmawiać zaproszenia prezydenta Clintona do udania się wraz z nim z wizytą do Polski. To, że nie wiózł tam kalendarza polskiego członkostwa w NATO, nie powinno być powodem dąsów. Z każdej okazji rozmów Polonii z prezydentem, a są one przecież prawie nie istniejące, trzeba korzystać. Może wtedy nie uczyłby Polaków ich historii, a sam się jej nauczył od polonijnych działaczy (zakładam, oczywiście, że ją znają).

Polonia musi też wreszcie nauczyć się żądać od Warszawy coś więcej niż to teraz robi. Stosunki polonijno-polskie nie mogą ograniczać się do hołubienia licznych gości z Warszawy jak i innych zakątków Polski. Tamci też muszą mieć coś do zaoferowania Polonii, a nie tylko wyciągać rękę po wsparcie.

Kończąc, jeszcze raz podkreślam, że ambicją Polaków musi być dążność do utrzymania jak najlepszych stosunków z USA, nawet jeśli nie wszystko w ich polityce im się podoba. Alternatyw wyboru Polacy nie mają bowiem zbyt wiele, a mimo wszystko drugiego, w końcu przychylnego jej supermocarstwa, nie znajdując przecież.

W następnym artykule, w którym mowa będzie o "opcji wschodniej", czyli stosunkach Polski z b. ZSRR, zobaczymy kontrast pomiędzy istniejącymi alternatywami i wtedy docenimy może, że trzeba się cieszyć z tego co się ma...

Zdzisław Rurarcz